



Nawrócona  
Stefan  
Hertmans

MARGINESY



# Nawrócona Stefan Hertmans

Z niderlandzkiego przełożyła  
ALICJA OCZKO

MARGINESY



This book was published with the support of  
Flanders Literature  
(flandersliterature.be)

מניו

*De bekeerlinge*

COPYRIGHT © 2016 BY Stefan Hertmans  
ORIGINALLY PUBLISHED WITH De Bezige Bij, Amsterdam

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Alicja Oczko  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2018

*Dla kobiety, która pocałowała dom*

*Formą beczasowości są słowa: teraz i tutaj.*

TOMASZ MANN, *JÓZEF I JEGO BRACIA*,  
PRZEŁ. EDYTA SICIŃSKA

I	Góra Jowisza	13
II	Rouen	45
III	Uciezka	81
IV	Narbona	137
V	Moniou	159
VI	Przeprawa	213
VII	Kair	273
VIII	Nájera	316
IX	Cambridge	345
X	Skarb z Monieux	355

GÓRA JOWISZA

Jest wcześnie rano, pierwsze promienie słońca właśnie wyłaniają się zza górskiego grzbietu.

Przez okno, z którego spoglądam na dolinę, widzę w od-dali dwoje zbliżających się ludzi. Sądzę, że idą ze wzgórz Saint-Hubert, z których roztacza się widok zarówno na szczyt Mont Ventoux, jak też na dolinę Monieux; potem przez jakiś czas pójdą rzadkim lasem dębowym na wyżynie, po której włączą się wilki.

Słynna Rocher du Ciré – stroma, monumentalna skała, gdzie wysoko i w niedostępnym punkcie roi się od pszczół, a kamień w blasku słońca lśni od miodu, który dosłownie skapuje ze skały – stoi wyniosła i samotna, swoją masywnością zatopiona w porannej mgle. Tych dwoje ludzi to wszystko widziało i w milczeniu przeszło obok.

Światło pada z ukosa na niewielkie jeszcze postaci. Od miejsca, w którym obecnie posiadłość La Plane niczym warujący pies leży nad doliną, mozolnie schodzą w dół drogą w kształcie litery S, prowadzącą na lewy



brzeg rzeki – dla nich jest to prawa strona, ponieważ idą pod prąd. Pojawiają się i znikają w zależności od tego, czy wyłaniają się między drzewami, czy za nimi znikają. Dotarliśmy do otwartej łąki na stoku, schodzą trochę szybciej. Widzą wyłaniające się, na wpół ukończone wieże na wysokiej skalnej ścianie, niczym znak rozpoznawczy, któremu można zaufać. Gdy słońce wznosi się jeszcze trochę i oświetla dolinę poniżej, ich oczom ukazuje się wioska; ponieważ wszystkie domy zostały zbudowane z naturalnego kamienia i w półmroku były prawie niezauważalne, wydaje się, jakby wieś w jakiś cudowny sposób odrywała się od skalnej ściany i za sprawą światła nabierała kształtów. Jakby ktoś odsuwał grubą kotarę, odsłaniając uśpiony krajobraz.

Granat świtu szybko się rozplywa. Przewagę zyskują żółtoszare odcienie. Ciepłe powietrze przepędza ostatnie chmury, które zmieniają się w olbrzymie prześwitujące głązy na fioletowym niebie; ponad nurtem rzeki unosi się biały welon, który paruje w oczach. Nad dachami krąży już stado żołą pszczołojadów.

Kiedy dwoje ludzi podchodzi jeszcze kilkaset metrów bliżej, zauważam, że mężczyzna podpira się nieociosanym drewnianym kijem. Kobieta utyka, chodzenie wyraźnie sprawia jej trudność. Oboje wyglądają na wyczerpanych. Czy kobieta zwichnęła kostkę na jednej z nieprzystępnych ścieżek na wyżynach, czy ból jest spowodowany ocierającym obuwiem i długimi, ciężkimi dziennymi marszami? Reguluję lornetkę i teraz dostrzegam również, że kobie-

ta jest w zaawansowanej ciąży. Mężczyzna nosi obszerną koszulę roboczą, a na głowie prosty kapelusz. Czasem pomaga kobiecie pokonać jakąś przeszkodę, podtrzymując ją za łokieć. Za nimi wyłania się drugi mężczyzna z dużym workiem na plecach. Idzie ich śladem i prowadzi ze sobą muła.

Jak wcześnie wstali dziś rano? Czy ocknęli się z zimna pod drzewem? Czy obudzili się w gospodzie? We wspaniałej ciszy wiosennego poranka rozlega się jeszcze śpiew skowronków w nadrzecznych krzewach. Słyszać go nawet tutaj; urywane melodyjne, szaleńcze trele. Kiedy słońce znajduje się całkiem nad wzgórzem, nad wykrzywionymi dębami bezgłośnie prześlizguje się sowa i znika aż do następnego wieczoru. Ponadczasowa cisza; dalekie wycie wilka; trzepot skrzydeł kukułki monotonicznie nawołującej ponad opuszczonymi lasami koło Saint-Jean. O wczesnej porze okolica pachnie niebiańsko, emanuje niezmierną piękną. W ten wiosenny poranek kielichy wszystkich irysów są otwarte, kwitnie dzika wiśnia, rozmaryn jest obsypany małymi jaszkrawymi kwiatami, wraz z ciepłą rosą wzbija się aromat tymianku. Ciepło rosy, Chamutal – przychodzi mi na myśl żydowski imię kobiety.

Wiem, kim oni są. Wiem, przed kim uciekają.

Chciałbym ich oboje przyjąć tu, w domu, ugościć czymś pokrzepiającym, czego może jeszcze nie znają, na przykład filiżanką kawy.

Gdzie mają zamieszkać, skoro ich dom od tysiąca lat nie istnieje, a średniowieczna część wsi zniknęła pod trawą i krzewami? W parę sekund pierwszy samochód może ich

przyprawić o atak serca ze strachu, przez co młoda kobieta być może przedwcześnie zacznie rodzić.

Poruszając się z trudem, para wchodzi teraz do mojej wsi.

Budzę się ze snu na jawie. Zamykam okno, rozpalam w kominku na rześkie poranne godziny, nastawiam kawę. Od czasu do czasu czuję niedorzeczną chęć wyjrzenia przez okno. Słoneczne plamy przesuwają się po starych płytkach podłogowych; jest leniwy, spokojny dzień.

\*

Ta wieś nazywała się kiedyś Góra Jowisza – Mons Jovis. Na długo przed początkiem rachuby czasu ułożono tu jedne na drugich pierwsze nieociosane kamienie, co stanowiło kontynuację osadnictwa neolitycznego. Obraz zatracca się w mroku czasów, ale pozostaje namacalny w najstarszych domach wyżej położonej wsi, które obróciły się w ruinę. W starej kaplicy na skraju wąwozu znaleziono kiedyś kamień z łacińską inskrypcją poświęconą Marsowi Nabelcuso-wi, bóstwu czczonemu w tej okolicy przez Rzymian.

W średniowieczu prymitywne domy były rozproszone między trudno dostępnymi skałami i wyrośniętymi dębami, osłonięte wysoką skalną ścianą, naturalnym, niemal stu-metrowym murem. Czasem można się jeszcze natknąć na stare piwnice pośród suchej trawy, poszycia i zarośniętych tymiankiem głazów. Ciemne jamy pachną pleśnią i ziemią, nawet w upalne dni. Tu, w tym zdziczałym miejscu pełnym jeżyn i uschniętej wyki, gdzie w ciągu dnia często sie-

dzę, marząc, znajdowała się kiedyś izba, w której rodzono i umierano.

Okolo dziesiątego wieku wybuchały właśnie o głębokie studnie znajdujące się pod niektórymi piwnicami. Podczas upałów – osławionych *canicule* – woda była słonawa i wywoływała zatrucia wśród mieszkańców. Obwiniano o to i torturowano włóczęgów, choćby w celu pielęgnowania idei składania ofiar. Tam, na wzgórzach, w kotłowninie *rafales*, mistrała i tramontany, stały chybotliwe budowle, bezokien-nymi plecami zwrócone do wiatru, dzięki czemu przetrwały wieki. Nie różniły się w istotny sposób od prymitywnych kamiennych konstrukcji, *bories*, wznoszonych przez paste-rzy na suchej równinie albo w lasach dębowych. Już wtedy robiono w kamieniu mały otwór obserwacyjny, który zimą zatykano skórą wilka czy lisa, czasem mocno napiętym pę-cherzem świni.

Średniowieczne domy budowano na wąskich parce-lach o grząskim podłożu. Metrowej grubości ściany, ciężkie i układane w pośpiechu, opierały się o siebie. Z biegiem stu-lecty stawały się coraz wyższe, ale znajomość budownictwa już nie ewoluowała. Dlatego od końca osiemnastego wieku wiele domów po prostu się zawaliło. Ruiny przekształcały się w malownicze sterty kamieni porośnięte dzikim winem, które w październiku barwi się krwistą czerwienią. Zacho-wane budynki od dawna wspierają się na wąskich, ciężkich fasadach jak staruszkowie na lasce. Dzięki reperacjom prze-trwały wieki. Zwietrzałe spoiwo z gliny i piasku zastąpio-no cementem. Stare dębowe dźwigary i zaimprovizowane

przypory wzmocniono betonem, domy trzymają się razem za sprawą metalowych prętów wsuniętych przez mury, a następnie przyśrubowanych, wykończonych ozdobną stałą kowalną w postaci zamykających pierścieni – niektóre przypominają szczypce skorpiona.

\*

To zrozumiałe, że tych dwoje zakochanych przyszło tutaj. Wieś niejednokrotnie dawała schronienie przejezdnym i uciekinierom. Żydom w jedenastym wieku, hugenotom w siedemnastym. Kiedy o jakimś miejscu mówiono, że jest tolerancyjne, wieść o nim rozchodziła się wśród tułaczy. Około osiemnastego wieku, gdy wieś została wymieniona w annałach pod nazwą Monilis, gmina liczyła niemal tysiąc mieszkańców. Wąskie ulice były wówczas zatłoczone, pozbawione światła i na wysokości siedmiuset metrów ponure podczas zim, lecz chłodne w czasie długich upalnych miesięcy latem. W rowach tworzyła się breja stanowiąca pożywkę dla szczurów. Nimi z kolei karmiła się pchły, a pchłami dzuma. W czternastym wieku opisano pierwsze przypadki zarazy w regionie. Cztery wieki później, podczas wielkiej epidemii, która dotarła przez Marsylię, wzniesiono dżumowe mury – pilnie strzeżone grube ściany z łupków, przy których zabijano uchodźców próbujących minąć strażników. Ludzkie hieny przemierzały okolicę, żeby ograbić leżące tu i tam zwłoki z ostatnich rzeczy. Nacieraly się mieszaniną tymianku, rozmarynu, lawendy i szałwii, a resztę zrobił zabobon, bo najwyraźniej środek ten chronił złodziei

przed zarażeniem. Słyszałem kiedyś, jak pewna staruszka nazwała tę klasyczną już mieszankę ziół *les quatre bandits*\*. Mur dżumowy znajduje się zaledwie parę kilometrów dalej, zarośnięty trawą i zieleń.

Ta surowa okolica miała poczucie własnej godności i przez wieki przeciwstawiała się centralizmowi Paryża. Ludność ulegała coraz większemu wymieszaniu. Hiszpanie, Marokańczycy i Włosi, zabłąkani marynarze, którzy przyjeżdżali z Marsylii i płodzili dzieci z miejscowymi pięknościami z suchych, niezamieszkałych wzgórz. Nędzarze z załzawionymi oczami siedzieli na wiosennym wietrze pośród dzikich irysów, maków i ubogo zasianego orkisz. Ich dzieci miały sklezione szorstkie stopy, przenikliwe spojrzenie i pokaleczoną skórę. Czasem przechodziła tędy pładująca banda, tu i tam grzmotnęła jakiegoś pasterza głową o ścianę, zgwałciła parę kobiet, a gdy tylko wieś obleciał strach, zabierała, co chciała. Potem znikwała za grzbietem pagórków, pozostawiając wolną rękę wiatrowi, słońcu, ciszy, trwodze i modlitwom.

W ten sposób wieś, niczym włóczęga z dawnych czasów, wchodzi w wiek dwudziesty. Prawie nic się nie zmieniło; wczesnym jesiennym porankiem pasterze nadal ciągną główną ulicą ze swoimi stadami, których ciepłe ciała parują, odgłos delikatnych kopyt i cicho dźwięczących dzwonek w różnych tonacjach nie odbiega w istotny sposób od tego z czasów, gdy Wergiliusz pisał swoje sielanki; na asfalcie zostaje ślad z bobków i kłaczek wełny, podczas gdy zwie-

\* Czterech bandytów (fr.) – wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

rzęta się tłoczą, a jagnięta wykonują zwariowane podskoki. Listonosz, paląc papierosa, spokojnie czeka w małym samochodzie dostawczym, aż stado opuści wieś. W starym romańskim kościele nadal w niedzielę odprawia się mszę. Wierni trochę fałszują w trakcie śpiewania, w nabożnych pieśniach jest to po prostu nieodzowne.

Zimą wieś zostaje czasem na wiele dni zasypana śniegiem. Mieszkańcy żyją wtedy z zapasów w piwnicach i zamrażarkach. W czasie długiego upalnego lata przyroda jest surowa i oszałamiająca, susza nadweręża grunty, zbiera się lawendę, a nad wyżyną unosi się zapach dymu, podczas gdy z roślin tłoczony jest drogocenny olej. Pory przejściowe są najpiękniejsze; wtedy kraina może odetchnąć, w winorośli zaś brzęczą pszczoły samotnice. Rozważano kiedyś pociągnięcie linii kolejowej w poprzek wyglądającego na prehistoryczny wąwozu, w powykręcany korycie rzeki, żeby ułatwić dotarcie do wsi z niżej położonej równiny; szybko z tego zrezygnowano, ponieważ niewykonalne okazało się pokonanie drogi choćby nawet konno. Dopiero od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wyżyna stała się łatwo dostępna – drogą szybkiego ruchu przez wysoki na tysiąc metrów grzbiet Les Abeilles.

Dni nie znają godzin. Można wpatrywać się w słoneczną plamę przesuającą się po surowej podłodze, rodzaj białego światła, które zdaje się drzeć, a późnym popołudniem wspina się na ścianę, zanim zniknie. Nic się nie dzieje, oto całe wydarzenie, od którego nie można oderwać wzroku. Czas biegnie własnym rytmem.

W niewielkiej prowansalskiej wiosce od niepamiętnych czasów mówi się o pogromie i ukrytym gdzieś skarbie.

Pod koniec XIX wieku w kairskiej synagodze zostają znalezione sensacyjne dokumenty.

Po latach Stefan Hertmans natrafia w nich na ślad szlachetnie urodzonej młodej chrześcijanki z XI wieku, która pokochała żydowskiego chłopaka i – wydając tym samym na siebie wyrok – uciekła z ukochanym.

Hertmans wyrusza ich tropem, przemierza pół świata, szukając śladów kochanków sprzed dziesięciu wieków. Nie zatrzymuje się jednak w tym miejscu. *Nawrócona* – nowa powieść autora bestsellerowej *Wojny i terpentyny* – jest na wskroś współczesna.

Tysiąc lat temu podczas krucjat chrześcijaństwo walczyło z islamem, Jerozolima przechodziła z rąk do rąk.

Ginęli niewinni ludzie, inni musieli uciekać z ojczyzny.

Dziś zmieniła się sceneria, konflikty pozostały te same.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9

788365973481

cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIIII



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

